

Konrad Szymalak

Tajemnica Pani Brylskiej

Łódź, 2023

Mroczo pamiętał Maliniak jeszcze z czasów jego świetności. Kiedy był dzieckiem przychodził latem pod jego ogrodzenie z przyjaciółmi zrywać maliny. Obrastały one całą, zachodnią część działki. Mieszkańcy nie przeganiali ich stamtąd. Z czterech rodzin zamieszkujących dom przy szwalni, najbardziej utkwili mu w pamięci Golińscy. Mieli trójkę dzieci w jego wieku, z którymi często się bawił lub wypuszczał na nielegalne wycieczki rowerowe do centrum. W maju jeszcze cały czas nad domem unosił się zapach kwitnącego bzu, ale jego woń z żalu ścisnęła mu gardło. Po zamknięciu szwalni, z którą sąsiadował, na początku lat dziewięćdziesiątych okolica zaczęła podupadać. Nie inaczej sam Maliniak. Pierwsi wyprowadzili się Golińscy, gdyż dach nad ich mieszkaniem zaczął przeciekać. Wilgoć, grzyb i pękające ściany skłoniły ich do przeprowadzki. Bieda i bezrobocie przysłoniły mu dalsze losy mieszkańców domu. Z roku na rok niszczał, aż przed laty stał się zwykłym squatem z zawalającym się dachem. Administracja pozabijała okna i drzwi drewnianymi płytami, ale bezdomni forsowali te zabezpieczenia, by odnaleźć schronienie przed zimnem i deszczem. Po zamknięciu szwalni jego życie było podobne do losów Maliniaka. Równia pochyła. Tego dnia nieco optymistyczniej patrzył na świat. Pani Brylska podarowała mu stary rower. Ramę przespawał tak, by powstało z niej solidne podwozie, na którym zamontował metalowy kosz. Ośkę wyjął ze starego wózka i wymienił koła na większe, rowerowe. W kilka godzin stał się posiadaczem jednego z najlepszych wózków do przewozu odpadów wtórnych w okolicy. Koła dobrze się prowadziły, konstrukcja była stabilna, a co najważniejsze nic nie skrzypiało. Mroczo rzucił okiem na zarośla wokół Maliniaka w poszukiwaniu kompanów, nie zauważywszy nikogo, postanowił niepostrzeżenie zrzucić z wózka pojemnik ze żrącym kwasem, którego używał do oddzielania złomu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ktoś nieuważny wejdzie w pojemnik i go przewróci, to będzie się wiązało z poważnymi poparzeniami, ale z drugiej strony te krzaki kryły gorsze zasadzki. Każdy miejscowy wiedział, że od nich należało trzymać się z daleka. Rozejrzał się czy nikt go nie zauważył i ruszył w kierunku nowo wybudowanych apartamentowców, które od Maliniaka dzieliło około pięćdziesięciu metrów wzdłuż nieczynnych torów tramwajowych. Kompleks powstał na terenie byłej tkalni, gdzie pracował wraz z matką. Po zamknięciu zakładu, stał się prawdziwą skarbnicą dla zbieraczy złomu. Następnie teren kupił deweloper, wyburzył i postawił tam sześć apartamentowców. W jednym z nich mieszkała Marta, kuzynka pani Brylskiej, która często ją odwiedzała. Plotki głosiły, że to ona kupiła jej mieszkanie, ale ile w tym było prawdy? Mroczo nie zajmował się weryfikowaniem takich doniesień. Choć śmietniki były tam zamknięte na klucz, jako ślusarz z trzydziestoletnim doświadczeniem miał swoje sposoby, by zbliżyć się do ich życiodajnych zasobów.

Wizja patrolowania zrujnowanych, pofabrycznych terenów nie była tą, jaką miała w swojej głowie posterunkowa Leska siedząc w ławce szkoły policyjnej. Zewsząd gruz, odór i potłuczone butelki. Sierżant Kownacka okrzepła już w tych zadaniach. Poprawiła pas przy mundurze, czapkę i zwinnym ruchem przedarła się przez wyłom w fabrycznym murze.

- Leska! Śmiało, tu nie ma duchów – krzyknęła sierżant niskim głosem.

Posterunkowa ociągając się, niepewnie przełożyła nogę za betonowe ogrodzenie. Podłoże porośnięte wysokimi do pasa chwastami kryło w sobie wiele niebezpieczeństw. Szyjki od butelek, wystające pręty, czy to co budziło w młodej policjantce największą odrazę, ludzkie odchody. Sierżant latarką oświetlała nierówne podłoże.

- Przejdziemy dookoła ruin szwalni, a potem wzdłuż ogrodzenia zajdziemy Maliniak od tyłu.

- Co właściwie spodziewamy się tam znaleźć?

- Moja droga, nigdy nie wiesz co tam możesz zastać. Odgórne wytyczne są takie, żeby pilnować czy bimbru tam nie pędzą, ale jak znam naszych okolicznych łazików, to stać ich naprawdę na wszystko.

- Jak to? Bimber w tej ruinie? – ze zdziwieniem spytała posterunkowa. – Przecież tam nie ma na czym zacieru zagotować. Ani prądu, ani gazu.

- Już ty się dziecko o to nie bój. Przynoszą butle z gazem i gotują. Zakład energetyczny chyba z dziesięć razy tam prąd odłączał i za każdym razem w tajemniczych okolicznościach podłączał się sam na nowo. Mamy tu na rejonie specjalistów.

- Masz na myśli tego Mroczo?

- Na przykład. Wielu ich tu, ale ten akurat wybitny. Inżynier-złota rączka. – Sierżant zatrzymała się i ręką pokazała na wysoką kamienicę, na której szczycie tliło się światło w małym okienku – Tam mieszka. Diabli wiedzą, co on tam teraz na tym strychu majstruje. Jeszcze go dziecko nieraz będziesz spisywała.

Leska starała się stawiać kroki w tych samych miejscach, co sierżant. Kiedy pod butem chrupnęły kamienie bądź szkło, było dobrze. Kiedy stopa nabrała poślizgu, posterunkowa nie potrafiła powstrzymać odruchu wymiotnego. Bardziej doświadczona w patrolowaniu tego rumowiska policjantka nie była tak wrażliwa. Kontakt z fekaliami kwitowała głośnym przekleństwem i serią inwektyw w kierunku lokalnej szumowiny. Na teren Maliniaka weszły przez dziurę w siatce. Zapach bzu mieszał się z odorem zostawianym przez ludzi

bezdolnych. Mieszał się, ale w żaden sposób go nie neutralizował. Leska stawiała małe kroki z najwyższą czujnością, jakby przemierzała pole minowe. Podwórze Maliniaka było dużo bardziej niebezpiecznym terenem niż ruiny szwalni. Tam światło latarki nie przebijało się przez chwasty do podłoża, a gęste krzaki sięgały ramion. W nich mogło kryć się absolutnie wszystko. Od starych części maszyn po ostrza do kosiarek. Leska miała w pamięci nauki dzielnicowego, który opowiadał jej o funkcjonariuszu, który wdepnął w sprężynę. Ostre zakończenie przedarło nogawkę i wbiło mu się w łydkę. W konsekwencji sześć szwów, skręcona kostka i na koniec tężec. Miała już krzyknąć do Kownackiej, żeby nie wchodzić do domu. Było ciemno, na pewno nikt tam nie siedział, ale zanim zdążyła się odezwać, usłyszała huk upadającej drewnianej płyty. Sierżant kopnięciem utorowała sobie drogę do środka, którą ktoś prowizorycznie zasłonił. Wąski korytarz był zastawiony workami ze śmieciami i gruzem. Od góry były ugniecione, co świadczyło o tym, że służyły do siedzenia. Na końcu korytarza znajdowały się schody w dół. Prowadziły do piwnicy. To tam zwykle przyrządzano nielegalnie alkohol. Kownacka poświeciła latarką w dół. Nie miała ochoty tam schodzić. Ukucnęła tylko na schodach i upewniwszy się, że w piwnicy nikogo nie było, wróciła na korytarz. Naprzeciwko schodów znajdowało się mieszkanie po Golińskich. Przechodnie trzy pokoje z kilkoma wnękami. – Oślaniaj mnie – szepnęła do zdeorientowanej dziewczyny. Uchyliła lekko drzwi i przełożyła przez nie latarkę. Uniosła się nieprzyjemna woń. – Leska wzywaj wsparcie. Chyba mamy trupa.

Było kilka minut po dwudziestej trzeciej, gdy głośnie pukanie obudziło Mroczkę drzemiącego w fotelu. Ocknął się i nogą zawadził o telewizor plazmowy oparty o ścianę. Patrząc na jedno oko podniósł się i podszedł do drzwi. Nie spodziewał się funkcjonariuszy o tej porze.

- Mroczo ubieraj się. Jedziemy na komendę – zakomunikowała sierżant Kownacka.

- Ale jak to? Nie mogę tak zostawić Andrzejka. Ostatnio jak został sam na noc, to wyszedł i dwa dni...

- Milcz! Bierz kapotę i z nami! – sierżant wskazała mu palcem korytarz.

Andrzejek cierpiał na autyzm. Odkąd umarła ich matka, opiekował się nim Mroczo. Mieli różnych ojców, ale żaden z nich nie interesował się losem synów. Od lat nie mieli kontaktu. Ojciec Andrzejka przez lata płacił alimenty, ale na tym się kończyły jego ojcowskie zobowiązania. Mroczo swego ojca nie

znał. Odszedł, kiedy miał dwa lata. Opieka nad chorym spoczywała wyłącznie na nim. Od czasu do czasu przychodziła urzędniczka z opieki społecznej i dawała im talony na jedzenie i ubrania. O terapię nie mógł się doprosić. Bali się go wszyscy. Nawet sąsiedzi. Był z wyglądu przeciwnością swojego brata. Niespełna dwa metry wzrostu, dobrze zbudowany, lekko otyły i zupełnie łysy. Jego dłonie były potężne. Potrafił wyginać poręcze na schodach, wyrywać słupki z ogrodzenia i dźwigać ogromne ciężary. Dysponował nadludzką siłą. Nie nawiązywał kontaktu prawie z nikim. Wyjątkami byli Mroczo i pani Brylska. Kiedy zostawał bez opieki brata, rzadko obywateli się bez interwencji policji. Nie był agresywny, nie uciekał się do przemocy. Funkcjonariusze odbierali go za uciążliwego. Potrafił zastawić swoim potężnym ciałem drzwi do czyjegoś mieszkania i nie chciał ustąpić. Utrudniał ruch na ulicy, zatrzymywał tramwaje lub przestawiał śmietniki na środek chodnika. Wtedy należało wezwać Mroczkę. Jeśli ten był nieuchwytny, kończyło się interwencją policji i lekarza z pogotowia. Ośrodek pomocy społecznej nie był zaangażowany w pomoc. Gdyby dzielnica była bardziej ekskluzywna, prawdopodobnie ktoś zleciłby interwencję odgórnie, ale w okolicach Maliniaka Andrzejek nie stanowił problemu dla maszyny urzędniczej.

Pani Brylska mieszkała po przeciwnej stronie podwórka dzielonego z kamienicą Mroczo. Odziedziczyła po mężu piętrowy dom. Wcześniej na parterze mieściła się kancelaria adwokacka. Po śmierci mecenasa Brylskiego, przerobiła dół na część mieszkalną, a u góry urządziła pokoje gościnne. Mieszkała tam ponad 40 lat. Sąsiedzi z kamienicy zastanawiali się, dlaczego dotąd nie wyprowadziła się z tej podłej okolicy. Zapewne z przyzwyczajenia. Mroczo pracował u niej dorywczo jako złota rączka. Naprawiał hydraulikę, elektrykę, malował, a jak było potrzeba to i schody naprawił lub przeciekający dach. Jako wynagrodzenie otrzymywał stare meble, ubrania po mecenasie lub po prostu kilkadziesiąt złotych. Pani Brylska nie była skłonna mu płacić w gotówce, ze względu na jego uzależnienie od alkoholu. Jednak on i tak świetnie sobie radził. Z bratem nigdy głodni nie chodzili. O znalezieniu martwego noworodka w Maliniaku pani Brylska dowiedziała się dopiero następnego dnia rano. Andrzejek szalał na ulicy przed kamienicą, co skutkowało od wczesnych godzin falą samochodowych klaksonów. Ubrała elegancki żakiet i kapelusz z małym rondem. Burgund i bordo dominowały w tej kreacji. Zamówiła taksówkę i udała się na komisariat. Należało wyciągnąć Mroczkę z aresztu, by spójność na podwórku powrócił. Andrzejek pozostawiony na dłużej bez opieki mógł doprowadzić do sterroryzowania okolicy.

- Plotki, plotki, wszędzie plotki – ciągnęła monolog podirytowanym głosem pani Brylska. Przemierzała długi korytarz budynku prokuratury zdecydowanym krokiem z palcem wskazującym skierowanym ku górze. Mroczo pozostawał nieco z tyłu, jak niegrzeczny uczeń, którego matka musiała odebrać z gabinetu dyrektora. Jak można człowieka aresztować na podstawie pijackich majaków bezdomnego. Skandal! Panie Mroczo, a pan nie mógł powiedzieć, że to zawiniątko w wózku to był mój zegar? Jeden telefon i sprawa by się wyjaśniła, a tak to Andrzejek już od rana ruch na ulicy zatrzymał. Rwetes na podwórku od samego świtu. Spać nie można. Ja już siedemdziesiąt osiem lat mam proszę pana, należy mi się trochę spokoju, a tu policja mi takie sensacje zafundowała.

Mroczo milczał i otwierał przed swoją wybawczynią kolejne drzwi. Tak dotarli do taksówki. W drodze powrotnej mijali Maliniak - dookoła oklejony taśmą policyjną. Pierwsze pytanie, jakie sobie zadał, to jak długo policja będzie badać to miejsce? W takie dni jak ten, kiedy padało, nie było się gdzie spotkać z kompanami i omówić wydarzeń z dzielnicy. Było co opowiadać. Mroczo nie pierwszy raz spędzał noc w areszcie i zapewne nie ostatni, ale jeszcze tak poważnych zarzutów mu nie stawiano. Dzielnicowy podejrzewał go o wszystko i zawsze, ale nigdy dotąd o zabójstwo, a tym bardziej niemowlaka. „Ja się dowiem, kto mnie w to wrobił. Znajdę tego łazęgę i mu kości porachuję.”

- Panie Mroczo – przerwała milczenie Brylska – wiadomo chociaż, czyje to dziecko było?

- Nie. Nic nie wiadomo. Tylko mnie podobno jakiś bezdomny widział, jak wiozłem mały przedmiot zawinięty w białą tkaninę i go zostawiłem w Maliniaku.

- Czy mam rozumieć, że mój zegar aktualnie znajduje się tam?

- Skądże. Mam go u siebie na strychu. Ten pijak pomylił wszystkie fakty.

- Chodzą, łążą, opowiadają głupoty. Pijani nie pamiętają na następny dzień, jak to było dokładnie, a pan by dostał za to dożywocie.

- Chwila moment, szanowna pani! Najpierw, to by musieli jakieś dowody na mnie przed sądem pokazać. To nie tak, że Kownacka na przeczucie może człowieka za morderstwo skazać.

- Umówmy się, że tak by było. – sceptycznie skwitowała jego wypowiedź.

Zapadał zmrok. Sierżant Kownacka weszła na kupę gruzu i wypatrywała. Dwumetrowe wzniesienie nie dawało lepszego widoku na okolicę, ale mogła

obserwować Maliniak i kamienicę Mroczy z ponad poziomu zarośli. Wysoka i wąska, jak wieża. Zbudowana z cegły, która od smogu była koloru ciemnobrązowego, a miejscami czarna. W szczycie małe okno, w którym świeciła mocna żarówka.

- Myślisz, że on to dziecko zamordował na tym strychu? – spytała Leska.

- Technicy sprawdzali to miejsce. Nie ma żadnych śladów, ale jakie ślady mogą pozostać po uduszeniu niemowlęcia?

- Sądzisz, że to nie on?

- Znam tą okolicę od kilkunastu lat. Gdyby Mroczko był psychopata, to ujawniłby się wcześniej. Do tej pory nie mieliśmy przypadków zaginięcia małych dzieci. To cwaniak i kombinator, ale nie morderca. Tu się pojawiło jakieś nowe zło.

Nagle od strony Maliniaka usłyszały szelest w trawie. Sierżant wskazała Leskiej palcem, by ta udała się do frontowego wejścia, a ona zajdzie od tyłu, od podwórka. W tylnym wejściu błysnęło przez chwilę małe światelko. Za małe na latarkę. Bardziej wyglądało to na ekran telefonu. Teren był odgradzony policyjną taśmą. Żaden z miejscowych łazików nie odważyłby się wtargnąć. Każdy miał coś na sumieniu i nie ryzykowałby pewnego wyroku bez ważnego powodu. Czyżby morderca wrócił, żeby zatrzeć jakieś ślady, które umknęły policjantom? Kownacka ostrożnie rozchyłała zarośla i stawiała małe kroki. Nie mogła użyć latarki, żeby nie spłoszyć intruza. Nie zdążyła dojść do tylnego wejścia, gdy za Maliniakiem usłyszała wrzask Leskiej. Zapaliła latarkę i pospieszyła jej w sukurs. Przed frontowym wejściem zastała posterunkową otrzępującą mundur z piasku.

- Kto to był?

- Nie wiem. Jakiś olbrzym w czapce z daszkiem. Odepchnął mnie i pobiegł w tamtą stronę. – Leska wskazała palcem kamienicę Mroczy. W tej samej chwili zapalił się rząd świateł na klatce schodowej.

- Andrzejek... - westchnęła Kownacka.

Mroczko dokręcił bezpiecznik trzymając latarkę w zębach. Wcisnął go i na klatce schodowej zapanowała jasność. Andrzejek siedział wygodnie w fotelu podrzucając w swojej potężnej dłoni piłeczkę do tenisa. Obaj spodziewali się wizyty policji. Tupot tych butów na schodach znali bardzo dobrze. Szczęśliwie mieszkali na trzecim piętrze i zawsze mieli czas na pochowanie trefnych

przedmiotów po skrytkach, zanim funkcjonariusze dotarli do drzwi. Kownacka nigdy nie pukała. Z rozmachem otwierała drzwi i jak bomba wpadała do środka. Przez kilkanaście lat służby nie przyszło jej do głowy, że gdyby ciszej wchodziła po schodach, to ta metoda miałaby duże szanse powodzenia na wykrycie alkoholu czy papierosów z nielegalnego źródła lub przedmiotów zdemontowanych z przestrzeni publicznej nie do końca legalnie. Tym razem Mroczo na powitanie dostał w twarz z otwartej ręki.

- Co to miało być? Kpisz sobie z nas? Po coś go tam wysłał? Gadał. – potrzasała nim trzymając go za flanelową koszulę.

- Pani sierżant, ja nie wiem o co w ogóle chodzi.

- Andrzejek parę minut temu był na Maliniaku i popchnął posterunkową.

- Bardzo mi przykro, ale nie wiedziałem gdzie był i co zaszło. Proszę przyjąć moje przeprosiny. Przecież pani sierżant wie, że on taki niegramotny. Zawsze tam chodził i mógł nie wiedzieć, że zabezpieczyliście teren. A pani posterunkowa pewnie go wystraszyła, więc spanikował.

- Masz szczęście, że jemu i tak nic nie można zrobić. – Pogroziła mu palcem. – Niemniej jednak zamelduję ten incydent komendantowi.

Mroczo pokiwał głową i zamknął za policjantkami drzwi. Przykucnął na drewnianej, skrzypiącej podłodze, uniósł jedną z desek, wyciągnął butelkę rozrobionego spirytusu i paczkę papierosów bez banderoli. Zasiedli z Andrzejkiem przy stole. Dopiero przy drugiej butelce olśniło go, w jakie kłopoty wpakował swojego brata. Z powodu zepsutego bezpiecznika naraził go na podejrzenia o zabicie dziecka. Sprawca wrócił na miejsce zbrodni. Kownacka zamelduje incydent nazajutrz komendantowi, a on wyśle Andrzejka na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Tam wyciągną z niego przyznanie do winy, bo jakby miał się obronić, skoro prawie nie mówi. Mroczo wpadł w panikę. Najpierw zaczął płakać i przytulać brata, potem nerwowo chodził po mieszkaniu, aż w końcu nie zważając na deszcz, ubrał się i wyszedł.

Budynki zlewały się ze sobą w świetle latarni. Po jego stopach płynął potok. Odbijał się od ściany i chwycił latarni. Równowagi nie zachowywał. Drzwi otworzyły się z hukiem. Mroczo wpadł do środka. Upadł bezwładnie na ziemię. Butelki rozbijały się obok jego głowy. Jedna trafiła celu. Karczemna wrzawa rozgorzała. Dzieciobójca jebany! Wypierdalaj stąd. Podniesiony i rzucony o chodnik nie mógł wstać. Woda w kałuży mieszała się z jego krwią. Leżał tak dłuższą chwilę. Opuszczający bar klienci na zmianę dawali mu po kopniaku i sprawdzali czy jeszcze żył. Choć znali go bardzo dobrze, nikt nie kwapił się wezwać karetki.

Deszcz znaczne stracił na swojej intensywności. Mroczo ocknął się i rękoma próbował dźwignąć się z chodnika. Z przeciwnej strony ulicy zbliżała się grupka młodzieży. Patrz to ten pedofil i dzieciobójca! – krzyknął do reszty otyły blondyn, wyraźnie dominujący nad nimi fizycznie – Chodźcie, spuścimy mu...

- Ja wam zaraz spuszczę! – odkrzyknęła Kownacka. – Wypad mi stąd. Leska wezwij pogotowie.

Sierżant pochyliła się nad leżącym i pomogła mu się podnieść, ale jego nogi odmawiały posłuszeństwa. Pijany jak bela – wyrzuciła z siebie ze zrezygnowaniem. W pozycji siedzącej oparła jego tułów o latarnię.

- Zawsze tak chlał? – bez widocznego zainteresowania spytała posterunkowa.

- Popijać, to zawsze tam coś popijał, ale tak jak teraz to od kilku lat dopiero. Od śmierci mecenasa Brylskiego. To on znalazł jego zwęglone zwłoki w samochodzie. Był mu zawsze jak ojciec, z resztą Andrzejkowi też. Brylski nie miał swoich dzieci, to swoją miłość przelewał na tych dwóch. Chociaż chodzą różne plotki.

- Niby, że to syn Brylskich?

- Nie on. Brylska była kiedyś w ciąży, ale podobno poroniła gdzieś na Mazurach w trakcie urlopu. Ten oto – wskazała na nieprzytomnego Mroczkę – był już wtedy na świecie, ale chronologicznie zgadzało się to z chwilą przyjścia na świat Andrzejka.

- Jeśli zwłoki pana Brylskiego zostały znalezione w takim stanie, to na pewno robiono badania DNA. Wystarczyłoby porównać z próbką od Andrzejka i by się wyjaśniło.

- Jeśli Brylska to ukrywała tyle lat, nigdy by się nie zgodziła na badanie. Komendant żartował, że nawet nie ma pewności, czy w tym grobie to mecenas jest pochowany. DNA porównano z próbką pobraną z grzebień, który ona przyniosła. Jeśli miała kochankę, to pozbyła się obu za jednym zamachem.

- No a karta dentystyczna?

- Leska! To żarty były. Chodź, pogotowie już jedzie.

Mroczo opuścił szpital rankiem następnego dnia. Na polecenie pani Brylskiej odebrała go Marta, jej kuzynka. Kobieta po pięćdziesiątce, krępa, niewysoka blondynka o kręconych włosach. Między nią, a Mrocziem zdecydowanie nie było chemii. Dyspozycję wykonała bez entuzjazmu, ale była od niej zależna finansowo, zatem nie mogła odmówić. Obdarta twarz, zakrwawione i podarte ubranie wyraźnie kontrastowały z nią i jej eleganckim, różowym samochodem z białą skórą w środku. Dziesięć minut jazdy to nie tak dużo, ale gdyby ją ktoś zobaczył, wstydu na lata. Mroczo w duchu dziękował sierżant Kownackiej, że ta nie pozwoliła na zabranie go do izby wytrzeźwień. Kiedy zobaczył Martę przed szpitalem zrozumiał, że Andrzejek musiał już coś narozrabiać. Pani Brylska posłała w trybie pilnym po szeryfa, by szeryf zrobił na podwórku porządek. Jednak co to za szeryf, któremu z domu strach wyjść – myślał. W okolicy rozeszła się wieść o jego winie. Społeczeństwo wydało wyrok na niego, a komendant wyda na Andrzejkę. Tak jego dotychczasowe życie przewróciło się do góry nogami. Dobrze, że jeszcze pani Brylska się od niego nie odsunęła.

Nakręcił mechanizm i odłożył klucz obok zakurzonej butelki koniaku. Pani Brylska robiąc porządki w piwnicy natknęła się na ten relikw sowieckiego przemysłu spirytusowego. Mroczo nie gustował w koniaku, ale nie zamierzał go wylać. Wydawał się idealnym lekarstwem na nerwy, jakie mu towarzyszyły. Odczekał sześćdziesiąt sekund stukając niecierpliwie palcami w ceratę na stole i z radością spostrzegł, jak wskazówka minutnika przesunęła się na tarczy zegara. Po raz kolejny nie zawiódł mecenasowej. Mając w głowie całą dobroć, jakiej doświadczał z jej strony, postanowił odnowić poobdzieraną farbę na obudowie. Wyjął papier ścierny i śrubokręt. Po farbę musiał iść do sklepu. W tym momencie przeszył go dreszcz. Wyjście z domu w aktualnej sytuacji należało do ekstremalnie niebezpiecznych, ale w okolicach marketu budowlanego nikt z tych ludzi, z tych niebezpiecznych nie przebywał. Odkręcił tabliczkę i szmatką starannie usuwał osad z mosiężnego elementu. Powoli spod niego zaczął ukazywać się napis. „Dla ukochanej Lusi.” – Mroczo dźwignął się z krzesła jak poparzony i przechylił do dna szklanekę z koniakiem. Kim do diabła była Lusia? Drapał się po głowie próbując sobie przypomnieć, czy mecenas nie kiedyś o niej nie wspominał. Pamięć miał raczej dobrą. Nigdy o Lusi nie słyszał. Kochanka? Raczej wykluczał tę możliwość, gdyż napis był niewidoczny od kilku lat, ale uwadze pani Brylskiej z pewnością by nie umknął. Nie trzymałaby zegara z dedykacją dla kochanki męża w przedpokoju. Jego zadumę przerwało pukanie. Nie zdążył wstać, gdy zza drzwi ukazała się sierżant Kownacka.

- Nie zamykasz się? – rzuciła na powitanie. – Chyba po ostatnich wydarzeniach powinieneś bardziej się pilnować.

- Co panią do mnie sprowadza?

Kownacka podniosła butelkę koniaku i uważnie przyglądała się etykiecie. Z pożałowaniem spojrzała na Mroczkę i usiadła obok niego.

- Sprawa jest delikatna i proszę o zachowanie dyskrecji.

- Pani sierżant zawsze może na mnie liczyć.

- Mamy wyniki DNA tego zabitego noworodka.

- To świetnie może w końcu uda się ustalić, kim byli rodzice.

- Słuchaj mnie. Materiał został wprowadzony do bazy danych i jedyna zbieżność występuje w porównaniu z próbką mecenasa Brylskiego. Byliście ze sobą blisko. Czy potrafisz to jakoś wytłumaczyć?

- Pani sierżant, na tą chwilę jestem głupi jak but. To zegar jego żony – dłonią wskazał na luźno leżące elementy i podniósł tabliczkę z dedykacją – Może pani potrafi wyjaśnić, kim była lub jest Lusia?

Kownacka zamyśliła się i zaczęła się uważnie przyglądać tekstowi wyrytemu w mosiądzu.

- Może to nie ma związku? Może dostali albo odziedziczyli ten zegar po kimś? Łucja, Lucyna...

Kiedy tak policjantka kombinowała z rozwinięciem zdrobnienia, Mroczo nagle doświadczył olśnienia. Był przekonany, że Lusia to Lucyna, a tymczasem wiele imion mogło odpowiadać temu zdrobnieniu. Przypomniawszy sobie, jak niemal dziesięć lat wcześniej, zawoził na polecenie mecenasa pudło z książkami Luizie...Porębskiej! – wykrzyknął. Kownacka zaskoczona popatrzyła na Mroczkę jak na niepo czytelnego. Widząc jej reakcję, pośpieszył z wyjaśnieniem.

- Luiza Porębska z Przędzalnianej. Wiozłem jej kiedyś książki od mecenasa. Mogę sprawdzić ten trop, ale musicie mnie stąd wywieźć, bo martwy do niczego się nie przydam.

Mroczo jesteś trupem. Namalowany białą farbą napis widniał na brunatnych ceglach jego kamienicy. Mroczo opierał się o niego ręką i palił papierosa. Był zaskoczony śmiałością wandalę, gdyż na własnym podwórku nie spodziewał się ataku pod żadną postacią na swoją osobę. Miejscowi dobrze znali jego zwyczaje i wiedzieli, że w każdym zakamarku podwórka miał pochowane

narzędzia mogące posłużyć do samoobrony. Pod parapetem budynku suszarni trzymał młotek. W trzepaku schowana była siekiera, a za słupkiem, na którym niegdyś wisiała brama wjazdowa, stał sporych rozmiarów łom. Ponadto jeśli kogoś nie odstraszał ten arsenał, to Andrzejka bał się już każdy. Nie zdarzyło się w okolicy Maliniaka, żeby Mroczo został opuszczony w przypadku bitki przez brata.

Radiowóz zatrzymał się na przystanku autobusowym naprzeciwko Rzemieślniczego Ogrodu Zieleni. Mroczo wysiadł i nie rozglądając się wskoczył w żywopłot odgradzający park od ulicy. Pod osłoną drzew czuł się bezpiecznie. Mimo tego, naciągnął na głowę kaptur. Spod oka zerkał na lokalnych włóczęgów popijających piwo na ławeczkach. W duchu miał wielką nadzieję, że nie spotka nikogo z rejonu Maliniaka. Miał ważną misję, w której jego pamięć okazywała się zawodna. Co kilka kroków przystawał i obracał gałkami ocznymi, by pobudzić umysł do wspomnień. Nie był pewien czy po wyjściu z parku powinien skręcić w pierwszą ulicę w lewo, gdzie mieściła się kwaciarnia, czy w drugą obok zakładu szewca. Pod kwaciarnią nikt nie stał. Stał i spojrzał w dół ulicy, wzdłuż której rosły stare lipy. Tych drzew nie kojarzył. Ruszył dalej główną w kierunku szewca. Na widok grupki stojącej na rogu jego niepokój wyraźnie wzrósł. Nikt go tutaj praktycznie nie znał, ale jeśli uduszony noworodek przyszedł na świat w którejś z okolicznych kamienic? Sprawa dzieciobójcy Mroczo mogła być nagłośniona. Nie dochodząc do stojących przed zakładem ludzi, odbił pewnym krokiem w ulicę. Był pełen obawy, że ktoś spyta go o parę złotych, a wtedy o zaczepkę nietrudno. Na szczęście jego znoszone ubranie działało jak zbroja przed wszelkimi zbieraczami. Wyglądał bardziej jakby sam czegoś potrzebował, niż był w stanie coś dać. Mniej więcej po środku ulicy znajdował się zaniedbany klomb, który odświeżył jego pamięć. Kilka metrów za nim, brama po prawo z czerwoną pompą wody na chodniku. Nacisnął dźwignię kilkukrotnie i na otwartą dłoń nalał lodowatej wody. Łapczywie ją wypił. Klatka schodowa po lewo, środkowe mieszkanie na drugim, bądź trzecim piętrze. Skinął sam sobie głową na przytaknięcie i wszedł do środka.

- A pan do kogo? – usłyszał ochrypy głos znikąd.

Mroczo rozejrzał się po bramie i nie dostrzegając nikogo, przeszedł przez nią na podwórko. Na niskim, drewnianym taborecie siedział starzec z pękiem kluczy. Ubrany w czarne spodnie i niebieską koszulę w czarną kratę. Staromodnie lecz schludnie.

- Szukam pani Luizy Porębskiej – odparł kłaniając się.

- Pani Lusi już tu od kilku tygodni nie ma. Nawet pani Marta się nie pokazuje.

Mroczo ściągnął kaptur i przeczesał resztkę włosów ręką. Słowo „Lusia” rozświetliło mu przyćmiony alkoholem umysł. Był na dobrym tropie. Wyjął papierosa i drżącymi rękami go podpalił. W jego głowie pojawiła się nagle lawina pytań. Czy chodziło o kuzynkę pani Brylskiej? Czy była to inna Marta? Kim była Luiza dla mecenasa i jak zegar dla niej znalazł się z powrotem w jego domu? Gdzie podziała się kobieta? Czy była w ciąży? Gdzie jest jej dziecko? Czy pani Brylska wiedziała o istnieniu Luizy i jej kontaktach z Martą? Nie wiedział od czego zacząć. Miał ochotę wciągnąć starego dozorcę wraz z całą jego wiedzą.

- Kawalera to ja już tu kiedyś widziałem. – Wycelował w Mroczkę palcem wskazującym i zmrużył oczy. – Z dziesięć lat będzie, jak pan tu te książki tachał po schodach.

- Tak. Z polecenia mecenasa Brylskiego. Kim była dla niego pani Lusia?

- To jego nieślubna córka. Jej matką była pani Teresa Porębska, o tam, dwie ulice dalej mieszkała. Po jej śmierci mecenas wynajął to mieszkanie, a kiedy jego zabrakło, to pani Brylska opłacała jej czynsz i dawała pieniądze na życie. Nie pokazywała się tu nigdy. Wysyłała tą swoją kuzynkę. Brylska to jeszcze żyje?

- Zapewniam, że tak i ma się świetnie – uprzejmym tonem zameldował Mroczo. – Czy pani Lusia była ostatnio w ciąży?

- Tak, ale kiedy urodziła to nie wiem. Marta zabrała ją rzekomo na polecenie pani Brylskiej do prywatnej kliniki położniczej – dozorca przerwał i głęboko się zamyślił – ale termin to teraz jakoś ze dwa tygodnie do tyłu jej przypadał. Tak. Tak musi coś być, ale jej już tu prawie dwa miesiące nie ma.

- Nie wie pan, do której kliniki Marta zabrała Lusię?

Starzec myślał chwilę nad odpowiedzią, ale ciszę przerwał telefon. Mroczo chciał ściszyć dzwonek, ale gdy zobaczył, że dzwoniła pani Brylska, przeprosił go niemym gestem eksponując mu telefon przed twarzą.

- Panie Mroczo niech się pan kryje! – krzyczała w słuchawce – Policja pana szuka! Podobno na miejscu zbrodni znaleziono pana krew i Andrzejka. Andrzejka już pojмали. Pan się nie martwi, nie pozwolę mu zrobić krzywdy. Pan niech się chowa do czasu wyjaśnienia sprawy.

Zszokowany schował telefon do kieszeni i próbował wrócić do rozmowy. Wątki jednak mu się całkiem poplątały. Wiedział już, że noworodkiem musiał być wnuk mecenasa i syn Lusi, ale dlaczego w sprawie morderstwa wszystkie poszlaki wskazywały na niego i Andrzejka? Co pani Brylska i Marta miały z tym wspólnego?

- Mam klucz do tego mieszkania. Możemy tam wejść. Może czasem jakaś ulotka tej kliniki została albo jakiś ślad. Ja tam jeszcze nie byłem.

- Nie był pan? A jak tam pani Lusia, nie daj Boże, martwa leży?

- Przez taki czas, to by trupem było czuć na klatce.

Na klatce schodowej unosił się odór, ale bez wątpienia nie pochodził on od rozkładających się zwłok. Odór, który Mroczko znał ze swojej kamienicy i z Maliniaka, miał swoje źródło w biedzie. Nieświeża żywność, niewynoszone odpady, brak higieny osobistej i zapach moczu wypełniały obdrapaną i pobazgraną wulgarnymi napisami klatkę. Mroczko dopiero wchodząc po schodach spostrzegł, jak wolno i nieubłagane postępowała degradacja w jego mieście. Próbował sięgnąć pamięcią do czasu, kiedy był na tych schodach po raz ostatni. Już wtedy było źle, ale po upływie lat było jeszcze gorzej. Zorientował się także jak podupadła jego własna kamienica. Upadek, do którego sam się swoją biernością przyczynił. Dozorca z problemami przekręcił klucz w zamku. Mroczko na chwilę zapomniał o swoich problemach z policją. Liczył, że otwarcie drzwi w tym mieszkaniu rozwiąże tajemnicę zabójstwa i oczyści go z zarzutów. W mieszkaniu było schludnie, choć meble pokrywała gęsta warstwa kurzu. Nic nie wskazywało na to, że lokatorka zamierzała opuścić lokal na dłużej. Na stole w kuchni stał metalowy pojemnik z kawą. W lodówce dżem, masło, sosy do kanapek. To wszystko nadawało się już do wyrzucenia. Mroczko zwrócił uwagę dozorcę, że gdyby Luiza wyjeżdżała na stałe lub na dłużej, pozbyłaby się całej żywności, a nie tylko tej z krótkim terminem przechowywania. Starzec przyznał mu rację i otworzył szafę. Była prawie pełna dżinsów, bluzek i sukienek. Mroczko nerwowo skierował się do łazienki. Na wannie i półce ściennej stało mnóstwo kosmetyków, ale szczoteczki do zębów i suszarki do włosów nie było. W szafce był zapas preparatu na astmę, ale inhalatora nie było. Na tej podstawie wywnioskował, że świadomie wybierała się gdzieś tylko na kilka dni. W salonie na stoliku do kawy leżał magazyn dla kobiet. Wydanie z marca. Z niedomkniętej szuflady w komodzie wystawał plik papierów. Mroczko w nich postanowił poszukać wskazówki, do której kliniki trafiła Porębska. Wśród rachunków i zawiadomień z administracji, Mroczko natrafił na szarą kopertę ze stemplem poufne. Mimo tego, nawet na chwilę się nie zawahał, żeby ją otworzyć. Kopia testamentu Janiny i Izydora Brylskich. Przysiadł na kanapie i pieczołowicie zaczął studiować dokument. Po chwili

stanął na baczność i z osłupieniem wpatrywał się w kartki papieru przez dłuższą chwilę. Z testamentu wynikało, iż majątek po Brylskich został podzielony pomiędzy niego, Andrzejkę i Luizę Porębską. Nie krył swojego zdumienia przed dozorcą.

- Pan zna Brylskich? Oni nie mają jakichś bliskich krewnych?

- Nie znam ich dobrze, ale z tego co pani Lusja opowiadała, to tylko ta kuzynka Marta była z nimi spokrewniona, no i jakby nie patrzeć ona sama była jego córką, a jej dziecko wnuczką.

Mroczo czuł w swojej głowie, że tajemnicze wydarzenia powoli układały się w całość. Gdyby ubezwłasnowolniono Andrzejkę i gdyby on sam trafił do więzienia za morderstwo, to w obliczu zaginięcia Luizy, jedynym spadkobiercą pozostałaby Marta. Nagle odrzucił dokumenty jak oparzony. Zorientował się, że był w trakcie dokonywania największego głupstwa w swoim życiu. Jeśli za jakiś czas policja znajdzie zwłoki Porębskiej, to do jej mieszkania przyjedzie policja, która znajdzie jego odciski palców. Z aresztu nie miałby możliwości oczyszczenia się z zarzutów. Czas nagiął.

Dym i smród smażonego, ludzkiego mięsa. Zwęglona głowa wystająca przez rozbitą szybę w drzwiach rozbitego doszczętnie samochodu. Tak go zapamiętał. Koszmarny widok przysłał mu postać serdecznego człowieka, który zawsze przychodził z dobrym słowem i jakimś upominkiem. Zawsze miał dla nich czas i garść dobrej energii. Mroczo rozplakał się nad jego grobem. Ech, mecenasie gdybyś dalej żył, nie doszłoby do tej zbrodni i naszej niedoli. Drżącymi ustami powtarzał do siebie. Spojrzał na dłonie i pokrywające je blizny. Ponad kwadrans szarpał się z drzwiami do przyjazdu straży pożarnej. Nie zważał na odłamki szkła i wystające, ostre fragmenty metalu. Chciał go wyrwać stamtąd z takim zapalem, jakby miało to jeszcze go ocalić. Kiedy złożono jego ciało na noszach i przykryto czarną folią, nie potrafił uwierzyć w to, co się stało. Policjanci pakowali w plastikowe torby rzeczy, które leżały w samochodzie. Jego neseser ocalał i przypalona apaszka, którą pani Brylska niedbale rzuciła na tylne siedzenie. Jeden z funkcjonariuszy schylił się pod fotel i wyciągnął spod niego stopiony inhalator. Wrzucił do woreczka i powiedział: to już mu nie będzie potrzebne.

Wtem nagle się ocknął. Jego ciało przeszył jakby strumień prądu. Wyprostował się, a głowę znad ziemi skierował ku niebu. Nie temu nad nim, ale bardziej przed sobą. Czy mecenas chorował na astmę? Dotąd nigdy się nie zastanawiał nad tym drobnym faktem, iż w jego samochodzie znaleziono

inhalator, dopóki nie skojarzył pojemnika preparatu z szafki u Porębskiej. Z oddali usłyszał kroki. Buty damskie na obcasie.

- Panie Mroczo! Czy pan rozum postradał? – głos Brylskiej rozległ się jakby zza grobu. Szybko wziął się w garść. Nie chciał pokazać, że był w rozsypce.

- Proszę pani, cmentarz to ostatnie miejsce, gdzie policja szukałaby mnie żywego. – Brylska zmarszczyła usta w geście rezygnacji, co uświadomiło go, iż ta wypowiedź nie była zbyt błyskotliwa. Niewiele myśląc spytał prosto z mostu. – Czy pani Lusia była wtedy z mecenasem?

- Cholerny zegar. Wiedziała, że zacznie pan coś podejrzewać. Rozumiem, że poznał już pan moją tajemnicę.

- Luiza zniknęła. To jej dziecko Kownacka znalazła na Maliniaku?

- Wychowałam morderczynię. – Brylska niemo spojrzała na Mroczkę i tak trwała przez chwilę, zanim osunęła się na jego ręce. Położył ją na chodniku, a pod głowę podłożył swoją dżinsową kurtkę. Próbował ją ocucić. Wołał, potrząsał za rękę, poruszał głową. Daremnie. Musiał wezwać pogotowie. Co jeśli dyspozytorka wysze wraz z karetką patrol policji? Nie mógł zadzwonić ze swojego telefonu. W torebce znalazł telefon mecenasowej. Zapomniał, iż kilka tygodni wcześniej zmieniła aparat. Nie znał nowego kodu do odblokowania. Data urodzin mecenasa. Pozostały dwie próby. Data śmierci. Jedna próba i urządzenie zostanie zablokowane. Szlag! – zaklął. Do wybrania numeru alarmowego nie potrzebował kodu. Operator kazał mu uciskać klatkę piersiową do przyjazdu karetki. Co jeśli policja będzie wcześniej? Dociskał ramieniem telefon do ucha i wykonywał polecenia. Czas dla niego się zatrzymał. Czy to zawał czy omdlenie? Pytał kilkukrotnie, lecz w odpowiedzi otrzymywał tylko słowa otuchy. W końcu między grobami mignęły pomarańczowe uniformy. Krzyknął podnosząc w górę rękę. Kiedy ratownicy podeszli, schował telefon do torebki i położył ją obok Brylskiej. Lekarka uniosła jej głowę, a Mroczo wyrwał spod niej swoją kurtkę i zniknął między alejkami.

Wśród mchu, wilgoci i insektów siedział skulony jak mały chłopiec. Drżącymi z zimna rękami ścisnął śrubokręt, kombinerki i mały pęk drutu. Od domu dzieliło go nie więcej niż sto metrów, ale to ruiny szwalni dawały mu poczucie bezpieczeństwa. Na ich terenie miał ukryty podręczny zestaw do podłączania prądu w Maliniaku, który elektrownia za każdym razem odłączała. Kiedy do tego dochodziło, Mroczo przeskakiwał tylko przez dziurę w ogrodzeniu i wyciągał ze starej studzienki kanalizacyjnej narzędzia. Nie trwało

to dłużej niż dziesięć minut i Maliniak miał z powrotem zasilanie na kilka tygodni, zanim firma energetyczna ponownie uporała się z procedurami niezbędnymi do odłączenia. Przez falisty, szklany dach wypatrywał mroku. Wierzył, że on go osłoni przed lokalnymi łazikami, którzy jeszcze niedawno byli jego dobrymi kompanami, a od kilku dni stali się wrogami zagrażającymi życiu i zdrowiu. Zimno studziło jego pełną pytań głowę. Martwił go los Brylskiej. Nie mógł nawet zadzwonić do szpitala, by spytać o jej stan zdrowia. A jeśli ona... Nie. Nie dopuszczał takiej myśli. Kim była morderczyni? Kogo miała zabić? Niemowlę czy mecenasa? Jedyne trop, jaki miał to Marta Brylska. Mieszkała po przeciwnej stronie ulicy od szwalni w komfortowym apartamentowcu. Znał jej zwyczaje. Pakowała śmieci w charakterystyczne, żółte worki z emblematem miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania. Skąd je brała? Przedsiębiorstwo nie sprzedawało tych worków od kilku dobrych lat. Pamiętał, że pracowała tam jako sekretarka, ale minęło dwadzieścia lat odkąd odeszła. Czy mogła zgromadzić taki zapas?

Mroczo wychylił ostrożnie głowę za płot szwalni. Ulicą wolno przejeżdżały samochody. Przed wjazdem do apartamentowca zatrzymał się jeden z nich i wysiadła z niego kobieta. Magnetyczną kartą otworzyła bramę. To była jego szansa, żeby wślizgnąć się na posesję zanim ta się zamknie. Mocowanie się z zamkiem w furtce było głośnie i czasochłonne. Co gorsza ktoś mógł wezwać policję. Co sił w nogach przebiegł przez ulicę i bokiem wślizgnął się pomiędzy słupki i domykającą się żelazną, przesuwaną bramę. Zamek do śmietnika znał bardzo dobrze. Zręcznym ruchem przekręcił kombinerkami drut i wcisnął śrubokrętem zapadkę. Nie zajęło to więcej niż dziesięć sekund. Poświecił telefonem w puszkę ze śmieciami. Na wierzchu nie zlokalizował żółtego worka. Ceglane ściany i dach z tworzywa sztucznego skutecznie go osłaniały. Miał czas, by spokojnie poszukać. Znalezienie jakiegokolwiek śladu po noworodku, pieluchy czy pokarmu mogło dać mu dowód przeciwko Marcie i oczyścić siebie i Andrzejkę z zarzutów. Może jakieś rzeczy Luizy Porębskiej. Czy Marta ją porwała? Gdzie mogła ją przetrzymywać? Czy policja już jej szukała? Przetrząsnął wszystkie trzy pojemniki i nie znalazł żółtego worka. Może Marta zmieniła zwyczaje? – zdjął czapkę i podrapał się po głowie. Drugiego planu nie miał. Kiedy wychodził, pod bramą zatrzymał się policyjny radiowóz. Ktoś musiał go dostrzec grzebiącego w śmietniku i zadzwonił po patrol. Czy to już był koniec dla niego i Andrzejki? Mroczo zaciągnął kaptur na czapkę i nie rozglądając się ruszył co sił w nogach w kierunku szwalni. Już był po drugiej stronie ulicy, przeskoczył przez dziurę w ogrodzeniu, gdy usłyszał głos Kownackiej. Mroczo poczekaj! Ten zatrzymał się i nieufnie spojrzał za siebie. Sierżant w towarzystwie Leskiej spokojnym krokiem zbliżała się do niego.

- Nie bój się. Dowiedziałeś się kim są rodzice noworodka?
- Matka Luiza Porębska, ojciec nieznany – odparł lapidarnie. – Porębska gdzieś zniknęła przed porodem. Podejrzewam, że Marta Brylska za tym stała. Jakim cudem znaleźliście moje i Andrzejka ślady biologiczne przy noworodku?
- Ze stołu, na którym leżały zwłoki wystawał gwóźdź. Na nim była twoja zaschnięta krew i brata.
- Idioci! – cisnął ze złością przez zęby. – Za dziecka bawiliśmy się u Golińskich przy tym stole. Co najmniej kilka razy sobie każdy głowę o ten stół rozbił. Co z panią Brylską?
- Jest w szpitalu na Pogórzu. Miała zawał serca. Jest wciąż nieprzytomna. Musisz się zgłosić na komisariat i złożyć zeznania. Nie mogę przyjąć twoich wyjaśnień.
- Najpierw muszę coś załatwić. – poprawił kaptur i zniknął w ruinach.
- Leska, w raporcie z interwencji napisz, że podejrzany zbiegł. Podjęłaś próbę pościgu, ale bezskutecznie.

Mroczo uklęknął przed źródłem i w złożone ręce nabrał wody z kamienistego podłoża. Zachłannie zaspokoił pragnienie. Światło księżyca nie przebijało się przez chmury. Park Karmelitanek uchodzący za płuca miasta był pogrążony w ciemności. Jedynie żarówka przy bramie klasztoru dawała niewielką poświatę na otaczające uzdrowisko zarośla. Jeśli Porębska jeszcze żyła, to klasztorny kompleks był idealnym otoczeniem dla astmatyczki. Wraz z mecenasem przyjeżdżali tu często po wodę, która zdaniem pani Brylskiej miała uzdrawiającą moc. Na początku lat dziewięćdziesiątych karmelitanki wystawiły część swojej ziemi na sprzedaż i za namową żony, Brylski kupił niewielką działkę, na której zbudował drewniany dom. Majowe noce były zbyt chłodne, by w nim spać, ale jeśli Luiza została uprowadzona, wątpliwe by porywaczka lub porywacze o to dbali. Mroczo obszedł klasztor dookoła i wszedł na szutrową ścieżkę, która prowadziła do ogródków działkowych. Jego pamięć była zawodna na tym terenie. Nie pamiętał jak wyglądał dom. Porębską poznałby po zdjęciu, które widział u niej w domu, ale nie mógł przeszukiwać wszystkich posesji po kolei. Otoczenie oświetlał latarką z telefonu, który już regularnie domagał się podłączenia do ładowania. Nieco zrezygnowany miał się już wycofać i poczekać na światło dzienne, gdy wtem z pomocą przyszedł mu jego wrodzony talent ślusarski. Metalowa skrzynka na listy w kształcie torebki kopertowej, na której pani Brylska zażyczyła sobie kwiat róży. Pamiętał ją dobrze, gdyż do jej

wykonania użył najlepszego stopu mosiądzu, jaki udało mu się wynieść z rozszabrowanej fabryki dywanów obok Rzemieślniczego Ogrodu Zieleni. Ostrożnie zbliżył się do niskiej, drewnianej bramy. W domu tliło się światło. Nie miał wątpliwości, że ktoś w środku gościł. Najciszej jak mógł przeskoczył przez bramę i schylony podążył w kierunku okna, z którego widać było światło. Niewysokie krzewy dawały mu naturalną osłonę. Ostrożnie stawiał kroki, by nie uruchomić żadnej z pułapek na ptaki i gryzonie, które również przed laty wykonał. Stał plecami do drewnianej ściany i obrócił się w kierunku okna tak, by móc zajrzeć do wewnątrz. Światło emitował telewizor. Film sensacyjny na drugim kanale. Widza nie mógł jednak dostrzec. Nie zamierzał zbijać okna. Znał się na zamkach w drzwiach. Wepchnął drut i zdecydowanym ruchem odblokował zapadkę. Osoba w środku musiała to usłyszeć. Nie miał czasu na zastanowienie. Wkroczył zdecydowanie do środka i od razu skierował się do pokoju z włączonym telewizorem. W rogu na niewielkiej sofie siedziała młoda, dezorientowana kobieta. Było zbyt ciemno, by mógł się jej przyjrzeć, ale po charakterystycznie spiętych u góry, kręconych włosach założył, iż była to Luiza Porębska.

- Kim pan jest? – spytała cichym głosem.

- Przyszedłem panią uwolnić.

Kobieta roześmiała się głośno i pilotem ściszyła telewizor.

- Uwolnić? Ależ od czego? Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- Nazywam się Mroczko. Ja i mój brat jesteśmy oskarżeni o zamordowanie pani córki. Musi się pani zgłosić na policję i wszystko im powiedzieć.

Porębska nagle spoważniała. Wyglądała na zaskoczoną. Powoli podniosła się z sofy i zbliżyła do Mroczki.

- Moja córka nie żyje? Ktoś ją zamordował?

Przez chwilę stali i patrzyli sobie w oczy. Luiza sprawiała wrażenie, jakby próbowała sobie przypomnieć skąd знаła tego człowieka. Mroczko przyglądał się jej badawczo. Zapanowało niezręczne milczenie, które w końcu przerwał.

- Tak. Pani córka została zamordowana.

- Sam ją zabiłeś ty lumpie! – Mroczko gwałtownie odwrócił się i zobaczył Martę z pistoletem wycelowanym w niego. – Kładź się na ziemię. – Lufą wskazała mu miejsce na dywanie. Podniósł dłonie na wysokość swoich barków i zamarkował, że się kładzie. Nagle uderzył w ramię Brylską. Broń wypadła. Z bliska spostrzegł, iż był to Walther PPK należący do mecenasa. Chciał chwycić

Luizę za ramię i wyciągnąć ją z pokoju, ale poczuł ucisk na szyi. Porębska dusiła go lnianym szalikiem. Marta schyliła się po broń i ponownie wymierzyła w jego klatkę piersiową.

- Luśka zostaw go, bo będzie miał ślady duszenia, a tak to powiemy, że wtargnął z bronią, żeby cię dorwać, doszło do szamotaniny i pistolet sam wypalił. – W jednej chwili Mroczo zrozumiał, że sam wprowadził się w pułapkę. Nie on je znalazł, tylko one czekały tu na niego, by się z nim rozprawić. Luiza puściła szalik, a on z całej siły popchnął Martę w głąb pokoju, aż ta upadła. Dopadł drzwi i wybiegł na zewnątrz. Padł strzał, a ostry ból przeszył jego lewe ramię. Upadł na bramę i po jej górnej krawędzi przeokoziółkował na zewnątrz posesji. Upadł na szutrową ścieżkę. Padł drugi strzał, który sparaliżował go od pasa w dół. Jego dłonie były całe we krwi. Słyszał, że ktoś się zbliżał. Nie mógł się ruszyć. Dotknął swoich pleców i zrozumiał, że druga kula musiała trafić w okolice biodra. Zaczął się czołgać w kierunku klasztoru. Z każdym ruchem słabł coraz bardziej, aż nieprzytomny przyłgnął do ziemi.

Zakładowy dzwonek obwieścił koniec pierwszej zmiany. Ze szwalni śpiesznym krokiem wychodziły setki ludzi. Ulica była nieprzejezdna. Samochody zatrzymywały się, by zabrać pracowników. Szwaczki w roztargnieniu rozglądały się za swoimi mężami. Inne przebiegały pomiędzy stojącymi grupkami na drugą stronę, żeby złapać tramwaj. Tak codziennie od poniedziałku do soboty. Wystarczał jednak kwadrans i ulica pustoszała. Marta ciągnęła przyjaciółkę za rękę w kierunku Maliniaka. Podskoczyła by zerwać bez. Przyłożyła jej kwiat do nosa. Chodź! Golińska nas nie zauważy w tej kołomyi. – Kobiety przebiegły przez bramę i zasiadły na trawie na tyłach domu. Przed spojrzeniami z okien chroniły je dwie rozłożyste jabłonie, które obrodziły pierwszymi owocami.

- Gdzie ten gówniarz Mroczo chowa fajki?

- Tam Tereska, pod tym kamieniem. – Marta palcem wskazała niewielki kamień pobrudzony z wierzchu czerwoną farbą. – Popatrz dobrze, bo i zapalki tam powinny być.

- Skąd ten frajer ma pieniądze na papierosy? - Teresa Porębska wzięła łyk wina z butelki i podpaliła papierosa. – Niby w takiej biedzie z Andrzejkiem żyją. – Marta wzięła od niej wino i upiła je nieznacznie.

- Ostatnio przerabiał u nas instalację gazową pod nową kuchnię. Brylska dała mu za to torbę z jedzeniem, a jak wyszedł to mecenas na podwórku wcisnął mu w kieszeń parę tysięcy.

- To on się zna na takich rzeczach? Przecież jest dopiero w pierwszej klasie zawodówki. – ze zdziwieniem spytała Porębska mrużąc swoje duże, ciemne oczy i poprawiając gęste, czarne włosy rozwiane przez letni wiatr.

- Pewnie. Ten samochód, który mecenas sprowadził z Niemiec, którym tak lubisz być wożona – Marta uśmiechając się puściła oczko – też naprawił. Za to mu Brylscy na pewno dobrze zapłacili. Mi żalują ciągle grosza. Mówią, że wydam na ciuchy i głupoty, a ten kretyn wydaje na piwo, papierosy i nikt go nie rozlicza.

- Czemu oni cię tak nie lubią? Przecież jesteś taką samą sierotą jak Mroczo i Andrzejek. Chyba, że Janina się domyśla? – Wyrwała Marcie butelkę i popatrzyła na nią poważnym wzrokiem.

- Coś podejrzewa na pewno, ale przecież udowodnić nic mi nie może. Podejrzenie sprawnie skierowałam na tych dwóch ćwoków. Ty się lepiej martw co będzie, jak Brylska cię na romansie z mecenasem przyłapie.

- Nie porównuj otrucia jej jadem kiełbasianym do niewinnego romansu.

- Będiesz miała niewinny romans, jak cię z roboty w kancelarii wypieprzy.

- To co robię, jest dozwolone przez prawo. Przez ciebie moja droga, Brylska poroniła i o mało sama nie zeszła z tego świata.

Mroczo siedział okrakiem na najwyższej gałęzi i kipiał ze złości. Mnie z Andrzejkiem milicja prawie w poprawczaku za próbę zabójstwa zamknęła, a ta się jeszcze śmieje. Tego ci nie daruję. Z trudem zachował milczenie. Zaciśnął pięści i oparł plecy o pień. Cierpliwie czekał, aż skończą pić wino.

Sierżant Kownacka nieśmiało podeszła do łóżka. Z miny Andrzejka nie dało się wyczytać, czy był zły, czy cieszył się na spotkanie z bratem. Stawiał opór przy aresztowaniu i został lekko poturbowany. Czy miał świadomość ostatnich wydarzeń? Wyglądał dużo lepiej od Mroczi. Choć kule ominęły ważne narządy ciała, czekała go długa rehabilitacja zanim odzyska pełną sprawność w nogach. Jednak to nie stan zdrowia go najbardziej przejmował.

- Przesłuchaliście Porębską? Przyznała się do wszystkiego? Co z panią Brylską?

- Brylska wie tylko to, czego się wcześniej sama domyślała. Lekarze zabronili nam ją przepytować. Jej serce jest jeszcze zbyt słabe, by słuchać o tym jak jej kuzynka w znowie z nieślubną córką męża zamordowały dziecko. Czym ty Mroczko żeś tak tej Marcie podpadł?

- Złapaliście ją w końcu?

- Leży z tobą w tym szpitalu. Próbowwała dostać się do swojego mieszkania, ale przed apartamentowcem stał radiowóz, więc zaczęła się w krzakach na Maliniaku. Tylko że tam, jakiś idiota wyrzucił pojemniki z kwasem siarkowym. Potknęła się i wpadła w nie. Jest poparzona od pasa w górę.

- Myślę, że pani Brylska nie chce nic więcej wiedzieć. Domyślała się, że to sprawka tej podłej wiedźmy. Próbowwała mnie ochronić, ale sama przypłaciła to swoim zdrowiem.

Do szpitalnej sali wszedł lekarz z wózkiem inwalidzkim. Kownacka z Andrzejkiem posadzili go na nim. Chciała zawieźć Mroczkę do domu, ale olbrzym delikatnie barkiem odsunął ją i z wigorem popchnął go w kierunku drzwi. Na Maliniak! – wiwatującym tonem zawył Andrzejek. Sierżant pokręciła głową i pozwoliła im odejść. Pierwszy raz słyszała, kiedy przemówił.